

Wybory. Prawda ekranu, prawda życia



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

W cieniu tego, co interesowało centralne media, pozostały dwa najważniejsze fakty samorządowych elekcji: konsolidacja obozu władzy na poziomie sejmików i początek wielkiej zmiany pokoleniowej w wyborach prezydenckich.

W XIX w. Józef Szujski pisał, że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki. Parafrazując to stwierdzenie, można powiedzieć, że głupie media są mistrzami słabej demokracji. W ostatnich wyborach samorządowych centralne media (dalej CM) interesował tylko wynik rywalizacji PO–PiS. I to głównie wtedy, gdy chodzi o liczbę oddanych na każdą z partii głosów. Tymczasem wynik ten nie przekłada się na jakikolwiek efekt polityczny. W cieniu tego, co interesowało CM, pozostały zatem dwa najważniejsze fakty tych wyborów: konsolidacja obozu władzy na poziomie sejmików i początek wielkiej zmiany pokoleniowej w wyborach prezydenckich.

Konsolidacja władzy w województwach

Najpoważniejszym zaniedbaniem CM w kampanii samorządowej jest niedostrzeżenie – niemal zupełnie – rywalizacji o władzę w sejmikach. To, że nie organizowano debat kandydatów na marszałków, można jeszcze zrozumieć, choć nikomu

nie zaszkodziłaby rozmowa o szansach rozwojowych kilku największych województw toczona przez reprezentantów PO, PiS czy PSL. Znacznie gorsze jest to, że za tym brakiem zainteresowania stoi wieloletnia praktyka nieobecności marszałków województw w CM. Praktyka zupełnie niezrozumiała, gdy zważymy na pozycję, jaką dały zarządom województw ogromne środki europejskie pozostające w dyspozycji samorządu regionalnego.

Zresztą dotyczy to nie tylko samorządu regionalnego. Zamiast rozmowy o polityce miejskiej i skutkach wyborów prezydentów 70 (a nie 6 wybranych) miast mieliśmy w TVN24 pogawędkę celebrytów i artystów. Nie zaproszono byłych prezydentów miast, byłych marszałków czy autorów reform samorządowych. Choćby Jerzego Stępnia, którego niedawny wywiad dla „Wyborczej” pozwalałby ułożyć ciekawą dla wielu widzów strukturę takiej rozmowy. Samorząd jest nudny – zdają się uważać CM, zwłaszcza jeżeli dotyczy miast innych niż Warszawa. Można zaprosić do studia Jacka Sasina czy Hannę Gronkie-

wicz-Waltz, bo oni mówią o sprawach, które redaktorów CM dotyczą jeszcze jakoś bezpośrednio. Reszta jest nudna. Temat na trzy ziewnięcia.

W oczekiwaniu na liczbę głosów oddanych na PO i PiS przegapiono to, co najważniejsze. Kluczowym wynikiem politycznym 16 listopada był rezultat wyborów do sejmików województw. To na tym poziomie dokona się w ciągu kadencji 2014–2018 podział znaczącej części europejskich środków. To ten poziom odegra istotną rolę w podtrzymaniu szans na trzecią kadencję rządów koalicji PO-PSL. Tymczasem omawiano głównie wynik głosowania w skali ogólnopolskiej, który ma znaczenie jedynie symboliczne. Jednym pozwala powiedzieć, że PiS te wybory wygrało. Innym, że partię tę czekają najwyżej takie zwycięstwa – pierwsze miejsce, które nie przekłada się na realne rządzenie. I nic więcej.

Organizujące wyborcze studia centralne media w zasadzie nie wiedziały, co jest stawką tych wyborów

Wyniku tych wyborów nie da się wyrazić ani w liczbie oddanych głosów, ani nawet w liczbie zdobytych w skali kraju mandatów. To była bitwa na 16 polach. I gdyby Prawo i Sprawiedliwość zdobyło o kilka procent głosów mniej, ale rządziło nie w jednym, lecz w pięciu województwach, to wynik tej formacji byłby korzystniejszy niż obecnie. PiS zachowało władzę w jednym województwie. Koalicja PO-PSL w 15. Ważnym wynikiem jest też to, że SLD będzie współrządził jedynie

w województwie śląskim. Po wyborach 2010 r. koalicje szersze niż PO-PSL konieczne były w czterech województwach. I właśnie to, a nie 8,8 proc. w skali kraju, jest wynikiem (a zarazem porażką) ugrupowania Leszka Millera.

Protekcjonalna głupota głównego nurtu

To trochę trudniejsze niż jedna ogólnopolska plansza z wynikami. Ale problem w tym, że ta ogólnopolska plansza ogłupia, wprowadza widzów w błąd. Zresztą klimat ignorowania tego, co dzieje się za opłotkami stolicy, niesie z sobą znacznie poważniejsze błędy niż niefrasobliwe fajerwerki centralizmu medialnego. Tylko niedołność PKW była w stanie „przykryć” poważną wpadkę, do której doszło w wyborczy wieczór. Krytycy IPSOS i jego zleceniodawców skupili się na trafności prognozy wyborczej. Jednak prawdziwym skandalem było to, że wieczorem 16 listopada nie doczekaliśmy się danych na poziomie województw. Choć to one miały polityczne skutki, a nie wynik na poziomie kraju. To nie była awaria systemu, ale bardzo poważny sygnał, mówiący, że organizujące wyborcze studia CM w zasadzie nie wiedziały, co jest stawką tych wyborów.

Tymczasem newsem tamtego wieczoru była informacja, iż „szafarze darów europejskich” – jak precyzyjnie określił nową rolę władz regionalnych prof. Paweł Swianiewicz – utrzymali swą władzę w stopniu znacznie większym niż politycy jakiegokolwiek innego szczebla samorządu. W chwili gdy oddaję ten tekst do publikacji, nie znamy jeszcze decyzji personalnych wszystkich nowych sejmików, ale dominujący trend jest taki, że w nowych zarządach wprowadzane są jedynie korekty personalne.

Stabilność nie będzie zatem sprowadzała się do utrzymania się rządzącej koalicji, lecz także reprodukcji układów personalnych i personalno-terytorialnych. Dla mechanizmów władzy w Polsce lokalnej ten fakt ma ogromne znaczenie. Umyka ono naszej uwadze, przede wszystkim dlatego, że ten poziom polityki jest praktycznie nieobserwowany przez nikogo. Media lokalne koncentrują się na detalach polityki lokalnej, odnotowując jedynie ważne dla danego miasta czy powiatu decyzje władz wojewódzkich. Media centralne ignorują fakt istnienia samorządu wojewódzkiego generalnie. Dziwiąc się zresztą później, że znacząca część wyborców nic o tym nie wie i oddaje głosy nieważne.

Jeden z wziętych komentatorów CM zastanawiał się nawet, czy wobec tak wysokiego odsetka tych głosów warto nadal utrzymywać samorząd regionalny. Bo może lepiej przekazać zadania związane z dzieleniem środków europejskich jakiemuś sprawnemu urzędowi centralnemu w Warszawie. Pomysł to jedno, każdy może powiedzieć coś mało przemyślanego. Ale atmosfera centralizmu, w której tak łatwo znosi się samorząd wojewódzki, rozważa likwidację powiatów, ignorując zupełnie skutki takich decyzji dla mieszkańców miast i miasteczek, w których mieszczą się te władze, jest czymś zatrażającym.

Kryje się za nim lekceważenie spraw dotyczących polskiej prowincji, nie tylko tej małomiasteczkowej. Całej prowincji – z wyjątkiem może Wrocławia, Krakowa czy Gdańska. Lekceważenie połączone z dziwacznym protekcjonalizmem. Szczególnie mówiąc, nie mogę już słuchać celebrytów i komentatorów mieszkających w Warszawie i z troską pochylających się nad Polską B. Nie mogę słuchać wrażeń

z wakacyjnego pobytu za rogatkami Warszawy i zdziwień, że Polska się zmienia, że w innych miastach są chodniki i Internet, kawiarnie i biblioteki.

Tylko w takim centralistycznym odurzeniu można zapomnieć, że w trzech następnych w rankingu wielkości miastach – w Krakowie, Łodzi i we Wrocławiu mieszka więcej osób niż w Warszawie. Że następne cztery – Poznań, Gdańsk, Szczecin i Bydgoszcz to kolejna, gdy chodzi o liczbę mieszkańców, Warszawa. Tu zresztą kolejna wpadka zamawiających exit poll CM: w ósemce największych miast, w których zamówiono sondaż ogłoszany w noc wyborczą, zabrakło Szczecina i Bydgoszczy, a w ich miejsca pojawiły się Katowice i Lublin. Miało być osiem, jest osiem – ale które i dlaczego, to chyba już nieważne.

Duże zmiany w średnich miastach

Powiedzmy zatem, co się stało w miastach – przynajmniej tych, którymi rządzą prezydenci. Po pierwsze, tylko 62 proc. spośród wybranych prezydentów to osoby sprawujące ten urząd przed wyborami, a zatem znacznie mniej niż przed czterema laty (kiedy było to aż 78 proc.). To ważne.

Ale ważniejsze jest jeszcze coś innego. Prawie połowa nowo wybranych prezydentów to osoby przed 40-tką. Rewolucja ta nie została dostrzeżona, bo ominęła największe miasta. Tam młodzi i wykształceni obywatele wybierali najczęściej kontynuację. Kandydaci przed 40-tką zostali wybrani tylko w dwóch miastach wojewódzkich – Katowicach i Opolu. Więcej jest ich w stolicach dawnych województw – wygrali w Białej Podlaskiej, Ciechanowie, Gorzowie, Lesznie, Łomży, Skierniewicach, Słupsku i Zamościu. Co ciekawe, tylko w kilku przypadkach ich zwycięstwo moż-

na przypisać partyjnej afiliacji. Tu zresztą we wskazywaniu młodych pretendentów do fotela prezydenta śmielsze od PO okazało się PiS. To z jego list fotel zdobyli 29-letni prezydent Stalowej Woli, 30-letni prezydent Łomży, 32-letni prezydent Zgierza i 33-letni prezydent Białej Podlaskiej.

Na czołówki CM trafił jednak inny przedstawiciel tej grupy, 38-letni Robert Biedroń. Jego zwycięstwo w „prowincjonalnym” Słupsku musi dać do myślenia tym, którzy z poziomu Warszawy lubią się pochylać nad prymitywną mentalnością gorzej wykształconych, mniej zamożnych i starszych mieszkańców małych miast. Jaki był warszawski wynik pani Joanny Erbel? Ile głosów dostali kandydaci krakowskich, wrocławskich i poznańskich ruchów miejskich? Wspomagani przecież przez życzliwe zainteresowanie części CM. Kandydat ruchów miejskich wygrał tylko w prowincjonalnym Gorzowie Wielkopolskim. Dlaczego w dużych miastach zainteresowanie tą wyborczą nowinką okazało się tak małe?

Może w tle zainteresowania drugą nitką warszawskiego metra dojrzewają procesy ważniejsze i ciekawsze. Może realne ruchy miejskie, zbudowane poza światem ratuszowego establishmentu istnieją także tam, gdzie tak się nie nazywają. W Bielsku-Białej o krok od zwycięstwa był Janusz Okrzesik. Kiedyś poseł i senator UD/UW, dziś lider całkiem dobrze pomyslanego komitetu Niezależni BB. Czy to jest jeszcze ruch miejski, czy już nie?

Przewagi prowincji?

A może warto przyjąć nieco inne spojrzenie na ostatnie wybory i posłużyć się pojęciem „ruchów zmiany”, krytykujących biuro-

kratyczny styl niektórych prezydentów, ich opieszałość i pyszałkowatość. Te złe cechy sprawiały, że część z nich nie uczestniczyła w debatach ze „zwykłymi kandydatami”. Jeżeli mimo to wygrywali, to warto może się zastanowić, co podtrzymuje taką zwycięską „miejską partię stabilizacji”. Zadowolenie mieszkańców czy może jakieś inne mechanizmy.

Prawie połowa nowo wybranych prezydentów to osoby przed 40-tką. Rewolucja ta nie została dostrzeżona, bo ominęła największe miasta

Być może wówczas zrozumiemy, dlaczego zmiana była możliwa raczej w małych ośrodkach. Dlaczego Biedroń mógł wygrać w Słupsku, ale nie dałby rady wygrać w żadnej z wielkich otwartych i tolerancyjnych ponoć metropolii? To, że zmiana pokoleniowa jest możliwa przede wszystkim poza „prężnymi centrami rozwoju”, jest bardziej zastanawiające niż fakt, iż prowincja nie żywi tak silnych uprzedzeń, jak by to z codziennych dystynkcji CM wynikało. Daje szansę na to, że „młodzi zdolni” nie będą już tylko ulubieńcami szefów partii jak Sławomir Nowak czy Adam Hofman. Może zaczną swe kariery w kilkudziesięciotysięcznych miastach i żaden medialny taran nie zablokuje ich epitetem „prowincjonalny prezydent”.

Być może ten taran będzie słabszy po tym, jak został użyty przez prawą

stronę mówiącą o Ewie Kopacz jako o „prowincjonalnej lekarce z Szydłowca”. Być może centralistyczną mentalność da się osłabić, otwarcie kwestionując jej dystynkcje, polemizując z jej założeniami.

Brak zainteresowania CM tym, co się dzieje poza Warszawą, ma wyłącznie złe skutki. Po pierwsze – osłabia kontrolę nad działaniami władz regionalnych, utrudnia publiczną debatę nad efektami prowadzonej przez nie polityki. Po drugie – utrwala schemat mówiący, że prawdziwy rozwój – a często po prostu prawdziwe życie – toczy się w metropoliach. W konsekwencji redukuje liczbę „miast z prawdziwego zdarzenia” z kilkudziesięciu do kilku. Widać to znakomicie w geografii polskich mediów. Po trzecie wreszcie – intelektualny centralizm prowadzi do złego traktowania tej większości, która żyje poza stolicą i może kilkoma dużymi miastami połączonymi z nią linią szybkiej kolei.

To, co naprawdę ważne

Z różnych rewolucji, o których ostatnio się mówi w Polsce, interesuje mnie tylko ta, która wyrówna prawa polskiej prowincji, której życie polityczne jest dla CM niewidoczne, chyba że burmistrz się upije, a starosta zwymyśla dziennikarza wulgarną wiązańką. Interesuje mnie jej skutek w postaci świadomości, że życie polityczne regionów i kilkudziesięciu miast ma bezpośredni i istotny wpływ na kształt kraju za 20–30 lat.

Ta rewolucja musi się dokonać równocześnie w języku, w głowach, w budżetach, planach rozwoju. Inaczej będziemy mieli kiepską demokrację relacjonowaną przez głupie media. Niemające sensownej strategii rozwoju miasta i regiony rządzone przez politycznych no-name’ów oraz powybórczy show z udziałem celebrytów, w sytuacji gdy nikt nie wie, co powiedzieć, bo wszyscy dawno zapomnieli, o co chodzi w tym całym głosowaniu.